

Londyn, 19.10.40

Drogi Kaziu.

Otrzymałem właśnie Twój list z dn. 10 bm., poprzednio depeszę ze zgodą na warunki Kota. Dałem tę depeszę Hulewiczowi, prosząc o szybkie załatwienie, ale skarb podobno formalizuje. Przesłanie czekiem jest bodaj niemożliwe, najlepsze – bo nie traci się na kursie – jest dołączenie sumy do dotacji poselstwa, ale to musi potrwać. W dodatku biura Prezydium uległy zniszczeniu. Chodzi o zniszczenia będące rezultatem serii nalotów niemieckich na Wielką Brytanię (tzw. Blitz), trwających od 7 września 1940 r. do 10 maja 1941 r., więc na razie tryb urzędowania jest bardzo powolny*). Musisz być cierpliwy. Pewnie Halusia jest już w posiadaniu słownika, który poszedł następną okazją, a Ty – listu, w którym prosiłem Cię o drobną zmianę w wierszu, doprawdy, konieczną. Prosząc o to, nie kieruję się względami oportunistycznymi, bo mam postawę wręcz odwrotną, ale wiesz, że zawsze byłem jednego niezmiennego zdania o tej sprawie. Cieszę się, że masz szansę uzyskania wizy do Stanów, tam trzeba koniecznie coś zacząć robić w dziedzinie kulturalnej, jeśli się tam dostaniesz, zacznij starać się o wizę dla mnie. Nie mam zamiaru opuszczać mojej placówki, która rozwija się coraz lepiej i coraz żywszy ma oddźwięk, ale nie wierzę w powrót do kraju nawet w razie zwycięstwa. Przyślij list dla Mierzwy (nie mam jeszcze jego adresu, ale jest podobno w Anglii). Dudwał zginął w Afryce. Czyście otrzymali 5 funtów na przesyłki do Warszawy? Napisz koniecznie do Stasi Marchlik, daj jej znać w jakiś rozsądny sposób, gdzie jestem, powtórz jej wiele serdeczności, poproś o opiekę nad Fugą. Fuga – ukochana suka Mieczysława Grydzewskiego rasy airedale terrier, która została w Warszawie. Redaktor pisał o niej: „W papierach miała Flora, ale Wierzyński przezwiał ją Fugą. I tak już zostało” (M. Grydzewski, Fuga i Voss, „Wiadomości” 1973, nr 15/16 (1411-1412), przedruk w tegoż: Szkice, oprac. P. Kądziała, Warszawa 1994). Wierzyński natomiast wspominał: „muszę przyznać, że odbiłem mu jego ukochaną Fugę, piękną sukę, która nie wiadomo dlaczego wolała mnie niż wszystkich domowników i kiedy miała szczenięta, nie wolno było nikomu zbliżyć się do nich tylko mnie. Grydzewski w swoim obiektywizmie właściwie cieszył się z wiarołomności ukochanej” (K. Wierzyński, Pamiętnik poety, oprac. P. Kądziała, Warszawa 1991, s. 187-188). Stanisława Masłowska w liście z 17 grudnia 1945 r. informowała Grydzewskiego: „Fuga biedaczka zdechła, była u Stasi cały czas, a nie pozwalała nikomu się wtrącać do psa, bo Pan Grydzewski wróci, to jej zapłaci za psa” (cyt. za: A. Augustyniak, O tym, jak Grydzewski z aktorkami się przyjaźnił..., dz. cyt., s. 188).. Adres chyba ten co dawniej. Skreśl też parę słów do mego szwagra, może jeszcze zdąży odpowiedzieć.

Tutaj jest w dalszym ciągu hałaśliwie w nocy, ale nastrój znakomity i właściwie normalne życie. Od wtorku nie mieszkam już w moim pensjonacie: stoi, ale nie jest do mieszkania. Coś brzydkiego huknęło przed nim po północy, ofiar nie było, jedynie Wasz przyjaciel został trochę uszkodzony: tzw. rana cięta głowy, zeszyta w ciągu pół godziny. Grydzewski był ranny podczas bombardowania Londynu. Zdarzenie opisał szczegółowo w liście do Jana Lechońa z 16 marca 1941 r.: „Z listów Kazia widzę, że miał w Lizbonie przesadne wiadomości o moich poranieniach. Pisał mi o jakichś szesnastu rzekomo szwach. W gruncie rzeczy jest ich cztery czy pięć. Czas, kiedy się to wydarzyło, był rzeczywiście emocjonujący, naloty trwały całą noc, bomby huczały i gwizdały, artyleria waliła bez przerwy, tak że nieraz trzeba było «przekrzykiwać» armaty. [...] Tego dnia, kiedy się to zdarzyło, Borman przyszedł w południe do redakcji i powiedział: «Po raz pierwszy się boję. Właściwie dlaczego, jeśli wszędzie trafia, nas nie ma trafić?» A potem udowadniał mi, że przeważnie bomby trafiają w domy narożne (nasz pensjonat jest narożny). Wieczorem robiłem korekty numeru, koło dwunastej przeczytałem głośno Cedr Zaleskiego, który szedł do numeru, i wstałem, aby przeczytać inny wiersz, kiedy nagle poczułem ból u nasady głowy i zrozumiałem, że coś się stało. Ale naprawdę nie zdawałem sobie sprawy, do jakiego stopnia się stało. Borman zaczął krzyczeć z przestachu o Hapę, ja krzyczałem, żeby się uspokoił, wyszliśmy potem na ulicę przebudzoną i także krzyczącą. [...] Pruszyński i Hapa prowadzili Bormana (któremu zresztą nic się nie stało), ja szedłem z tyłu. Poszliśmy do pensjonatu Sakowskich, w którym mieszkało mnóstwo Polaków. Byłem dosłownie złany krwią, ale rany na głowie okazały się powierzchowne (zresztą jeszcze miesiąc temu wyciągnąłem sobie znad czoła kawałek szkła, który tkwił w skórze), poza tym miałem podbite na czarno oko i stłuczony palec (do tej pory nie wyprostował się całkowicie). Pani Zahorska zrobiła mi prowizoryczny opatrunek, opatrywanie rany odbywało się w pokoju pp. Wiesławostwa Domaniewskich, pamiętam, że mi dygotała noga, ale po wypiciu kieliszka czegoś od razu się wszystko uspokoiło. Starałem się zachować tak, żeby nie przynieść wstydu ani mojej rasie, ani mojemu narodowi, jeden z obecnych oficerów, ranny wielokrotnie, powiedział podobno, że wszystko było jak trzeba. Oczywiście, posłałem zaraz Pruszyńskiego po rewizję numeru, która została w pokoju. Potem poszedłem do ambulatorium, gdzie zszywano mi rany z godzinę, co było bardzo przykre, bo znieczulenie po pewnym czasie przestało działać, ale na pociechę lekarka (staruszka), która mnie opatrywała, powiedziała, że jestem najcierpliwszym pacjentem jakiegokolwiek widziała. Nie wypuszczono mnie do rana, do czasu odwołania alarmu; kiedy wróciłem do domu, zrozumiałem, że właściwie przestał istnieć. Bomba padła dosłownie przed progiem, gdyby trafiła w dom, zapewne nie pisałbym tego listu. Nie musiała być wielkiego kalibru, dlatego gdyby dom był solidny, mieszkałbym tam może po dzień dzisiejszy. Mury i sufity trzymały się, ale tynk poopadał i wewnątrz robiło wrażenie, jakby przeszedł orkan. Nie mogłem początkowo zrozumieć, skąd się wzięła firanka na moich drzwiach, ale okazało się, że całe okno, zdmuchnięte przeleciało pokój i oparło się na drzwiach. Cały mój skromny dobytek, mieszczący się w jednej walizce, ocalał” (M. Grydzewski, J. Lechoń, Listy 1923-1956, dz. cyt., t. 1, s. 93-94). Adam Pragier tak wspominał tamte chwile: „Mieczysław Grydzewski miał powierzchowną ranę na głowie. Był już przez nas opatrzony, ale lekarz nastawał, aby natychmiast udał się do szpitala na prześwietlenie i kazał przynieść nosze. Grydzewski krzyczał, żeby mu dali święty spokój, bo jutro z rana musi łącać numer swojego pisma. Nie chciał też żadną miarą położyć się na noszach. Ostatecznie wyperswadowaliśmy mu, że prześwietlenie o 2-jej w nocy nie przeszkodzi łącaniu numeru nazajutrz o 11-jej rano, więc

zdecydował się pójść do szpitala. Odbyło się to w formie fantastycznego pochodu. Najpierw szedł Grydzewski z lekarzem i pielęgniarką, za nimi nosze, wreszcie ludzie z obrony przeciwlotniczej. Nazajutrz Grydzewski, już po złamaniu numeru, jadł z nami obiad, bo w jego domu kuchnia była rozwalona” (A. Pragier, Czas przeszły - dokonany, Londyn 1966, s. 616-617).. Jestem bardzo dumny, bo rano byłem już w drukarni i gdyby nie zgubione okulary, numer wyszedłby bez opóźnienia. Ale do schronów w dalszym ciągu nie schodzę.

Czekam na rękopisy, tytuł tomu doskonały.

Ściskam Was najserdeczniej.

M.

Dopisek odręczny na dole pierwszej strony odnoszący się do gwiazdki w tekście:

*) Może Dubicz zgodzi się wy[---]yćCzęść słowa nieczytelna. tę sumę dla Ciebie i dla Rafała?